

## Złote lata Klubu Medyka – cz. II (Puls 04/2005)

Autor: Adam Galewski

19 kwietnia 2005

Po ukazaniu się pierwszego odcinka moich wspomnień z lat sześćdziesiątych otrzymałem szereg telefonów i SMS-ów od koleżanek i kolegów. Dlatego postanowiłem poczekać z następnymi artykułami.

Były to lata siermiężnego gomułkowskiego socjalizmu. Proletariusz miał mieszkać w kamienicy. Komórka na węgiel, piec kaflowy i kuchnia na opał stały, zazwyczaj ślepa, łazienki często wspólne. Po pochodach pierwszomajowych uczestnikom – za symboliczne kwoty lub za darmo – wydawano z ciężarówek bułki, kiełbasę i piwo z zatrzaskiwanych butelek. W niedzielę brało się koszyk, jajka na twardo, pomidory, pieczywo, pół litra – i tramwajem na majówkę na Bielany. W tym czasie byłem już szczęśliwym posiadaczem motocykla (najpierw WSK, a następnie „Gazela”), którym latem dojeżdżałem do mojego drugiego domu przy ul. Oczki 7.

Jak już pisałem, największą postacią (również wzrostem) był Zbyszek Mossakowski, znany konsument piwa, który nagle i niespodziewanie zaprzestał tej konsumpcji. Jako kierownik Klubu Medyka był konsekwentny. Alkoholu w żadnej postaci nie spożywał, co dziś uroczyście poświadczam. Organizował wspaniałe imprezy kulturalne, spotkania z interesującymi ludźmi. Ile to znakomitości aktorskich i literackich przewinęło się przez nasz klub! Był najlepszy w Polsce.

Oddzielną, niezapomnianą kartę stanowiła Sekcja Brydża Sportowego Medyków „Eskulap”. W brydża lekarze grali zawsze. Przed wojną i do połowy lat pięćdziesiątych obowiązywał system „Culbertson”. Zapis był tzw. polski. Jeszcze w szkole średniej przyswoiliśmy sobie genialną książkę „Contract brigde” Gorena. Inne liczenie, inny międzynarodowy zapis. Po cichu graliśmy w Medyku. Postanowiliśmy wtedy założyć sekcję brydża sportowego. My – to znaczy Andrzej Orłow i ja. Udałem się do JM Rektora prof. Bolesława Górnickiego, jako ówczesny szef uczelnianej organizacji młodzieżowej, z podaniem o zezwolenie. Byłem studentem oddziału pediatrycznego i co wtorek o 14.00 w Instytucie Matki i Dziecka Pan Rektor, dyrektor tego Instytutu, prof. pediatrii Bolesław Górnicki, miał dla nas wykład. Siedziałem w pierwszym rzędzie, a kol. Andrzej Doroba puszczał przezrocza. Pan Rektor znał, jeszcze sprzed wojny, mojego ojca.

I udało się! Karty oficjalnie wprowadzono do Klubu Medyka. Sekcja zapisała się do Polskiego Związku Brydża Sportowego i zaczęliśmy odnosić niemałe sukcesy w meczach ligi okręgowej.

W niedzielę graliśmy w akademiku żeńskim przy ul. Karolkowej, organizowaliśmy tam popularne turnieje. Brydż jest nie tylko grą w karty, to sport umysłowy, uprawiany za pomocą kart. Od lat znane są sukcesy naszych rodaków w tej dyscyplinie. Oczywiście grywało się też w tzw. kółko lub party-fix na pieniądze. Z kolegą Jackiem Kwiatkowskim tworzyliśmy doskonałą parę. Ale poker też nie był nam obcy. Włodek Niziuk (śp.), Andrzej Zawada (śp.), Andrzej Nejno, Janek Młynarski, Andrzej Olenderek, „Bahus” (Bogdan Skolimowski) i wielu innych namiętnie uprawiało hazard. W siermiężnym i ubogim życiu studenckim była to rozrywka zdrowa i często chlebowa. Siebie rzadko ogrywaliśmy. Natomiast bywało, że i z zawodowcami, i z oszustami przyszło się zmierzyć, z różnymi skutkami. Umiejętności analityczne wyniesione z gry w karty owocują do dziś.

Tymczasem prezesem ZSP został Jurek Goliszewski, dziś znany ortopeda i asystent w Zakładzie Anatomii. Kochał sport i AZS, wraz z Januszem Scheitzerem (pływa po oceanach świata). Po nim był Marek Kulik, a następnie najlepszy i najsprawniejszy z prezesów – Krzysztof Dąbrowicz, dziś właściciel znakomitej lecznicy stomatologicznej, czynnej całą dobę, przy ul. Raławickiej. Wiem, co piszę, bo sam się o tym przekonałem. Wylądował w końcu u mnie, w redakcji „Nowego Medyka”, tak jak wielu innych znanych działaczy, np. dzisiejszy wiceminister Janusz Opolski, którego proszę, by nie zapomniał o kolegach.

Dom Medyka przy Oczki 7 przeżywał rozkwit na wszystkich piętrach. Najważniejszy był klub i jego imprezy, w tym słynne wieczorki taneczne w soboty i niedziele. Kawiarenka, gdzie raz legalnie, raz pod stołem spożywaliśmy oprócz piwa słynne wino „patykiem pisane” za 17 zł. Zimne latem, gorące zimą. Na piętrze nad klubem był komitet partyjny. Cokolwiek by powiedzieć, kiedy sekretarzem był śp. Stasio Gałęcki (były szef Rady Okręgowej ZSP), nie działało się najgorzej. Był normalny.

Na półpiętrze klub turystyczny, a wyżej redakcja „Nowego Medyka”. Pamiętam słynne turnieje tenisa stołowego o puchar redakcji, z nagrodami. Byłem wtedy albo zastępcą, albo sekretarzem redakcji, grywałem w ping-ponga i często zajmowałem pierwsze miejsce.

A potem jako redaktor naczelny tego najszynniejszego pisma studenckiego – sam sobie puchar wręczałem. „Nowy Medyk” – kontynuacja do dziś, pod prezesem Andrzejem Dorobą, choć tytuły inne! Lokal redakcji z umywalką i fotelami. Gdyby ściany miały oczy i uszy<sup>2</sup> Ach, to były czasy.

Klub fotografii, lokal AZS i siedziba ZSP zajmowały III piętro. W podziemiach – stołówka. Cechą charakterystyczną bywalców-działaczy było zaczynanie obiadów od deseru, poprzez drugie danie, z zupą na końcu. Nie bardzo do dziś wiem, dlaczego tak robiliśmy. Podobno tak polecono na fizjologii, a może na patofizjologii.

Zdarza się i teraz, że z sentymentem i nabożeństwem wchodzę do swego byłego drugiego domu. Kiedy miałem biuro przy ul. Nowogrodzkiej, naprzeciw wejścia bocznego do Szpitala Dzieciątka Jezus, gdzie odrabiałem większość zajęć klinicznych, przechodziłem tym samym przejściem (portiernia – zabytek) i wychodziłem na Oczki 7. Łza się w oku kręci. Kiedyś wchodzę na piętro, a tu ochroniarz: – Czego pan tu szuka? – Siebie – mówię. – A, to proszę.

Za Gomułki puste półki – mawiano. Ale dawaliśmy radę. Boso, ale w ostrogach. Pamiętam inaugurację każdego roku akademickiego. Gala w sali kongresowej. Następnie udawaliśmy się do winiarni Fukiera na Stare Miasto celem uczczenia rieslingiem nowych koleżanek. Takich palonych migdałów do dziś nie uświadczysz. Drogie były. A wieczorem do klubu. Posiadaczy jednej pieczętki w legitymacji studenckiej AM wpuszczano za darmo. To pierwszorocznicy. Na drugi dzień rano udawaliśmy się na pierwszy wykład prof. Sylwanowicza z anatomii prawidłowej na rogu Chałubińskiego i Oczki, celem obcięcia – poznania nowo przyjętych koleżanek, przeważnie z dobrym skutkiem.

Nie wszystkich udało się mi się wymienić z imienia i z nazwiska. Nie ta pamięć, nie te oczy, przepraszam. Pozdrawiam.